

Namawiający do śmierci.

Przedwcześnie zgasy wielki talent, Jerzy Żuławski, rozwijając temat „ulubieńcy bogów umierają młodo”, napisał prześliczne opowiadanie i nazwał je „Namawiający do śmierci” (po grecku). Ów „namawiający” był to filozof czasów starożytnej Hellady, który wygłaszał do tłumów mowy publiczne i dowodził im, że nie należy czekać aż ciało nasze pocnie wiedzieć, że trzeba wycisnąć z życia wszystkich rozkoszny sok, jak się wyciska z winnego grona, z rumieniącej się w słońcu pomarańczy, czy z białej piersi kobiecej nabrzmiałej pierwszym mlekiem najłodszej i że potem trzeba wyjść na spotkanie śmierci i dać jej się, bez walki, pocałować w usta, by ustąpić miejsca innym, młodszym, pragnącym pić z czary życia słodczy miłosną, co na wiosnę krwawo rozpala wargi, które potem, spalane płomieniem, szepczą dumy - modlitwy o spokój...

Jedną z takich mów wywołała skutki straszliwe. Oto gromada młodych kobiet i mężczyzn wysłała chawsy kuszących słów oratora, wygłoszonych na forum nadmorskiego miasta, pod wieczór, w blasku gasnących promieni słońca, — uwierzyła jego twierdzeniom. Całą noc trwało wesele.

Pito wino. Dzwoniły flety i wielostrumne arfy. Palono wonne kadzidła — i w objęciach przeżyły się młode ciała, drząc w spazmach cielesnej rozkoszy... A potem, w wiankach na głowach, ruszyli szczęśliwi młodożęcy ku morzu. I popłynęli — hen, daleko od wybrzeża... A potem morska fala wyrzuciła na piach i na skały gromadę nagich białych ciał, którym „bóg morza” zabrał był dusze...

Dziś takich „filozofów” już nie ma. Ale za to jest w Warszawie minister sprawiedliwości, który niedawno namawiał prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, aby podisał wyrok śmierci na 19-letniego młodziaka, oskarżonego przez sąd doraźny i skazanego, prawdopodobnie, dla przykładu — na śmierć.

Powstaje pytanie: jakie pobudki kierowały panem Wyganowskim, że się podjął tej roli „namawiającego do śmierci”?

Filozoficzne? Chyba nie. Prawne? Rzecz wątpliwa. Etyczne? Także nie. A więc polityczno-społeczne, poparte, jak to „przypomniał” p. ministrowi Thugutta, naciskiem bezpośrednim ze strony władz łódzkich, czego się p. Wyganowski na komisji sejmowej wyparł, nazywając oświadczenie Thugutta „nieporozumieniem”.

Otóż to właśnie — „nieporozumienie” zmusza najbardziej śred-

niego obywatela do rozmyślenia na temat:

1) Co wart minister sprawiedliwości, który „nie umie” a musi mówić nieprawdę — i którego przylapują na tem prawdomówni posłowie w stylu Thugutta, który faktycznie coraz częściej zaczyna reprezent. Polskę nawewnątrz i nazewnątrz? (Rzym, Londyn, Paryż, do Painlevé'a i t. d.).

2) Co warta w Polsce sprawiedliwość, skoro można ją „nakrecać” odpowiednio do lokalnych żądań, powiedzmy, łódzkich, gdzie pośpiech „doraźny” góruje nad zimnym rozsądkiem?

W rezultacie owej „doraźności” — i Europa i Azja będzie grzmiała o bezprawiu w Polsce. Z depesz wiemy już, że na Ukrainie szykuje się szereg manifestacji przeciw polskich, które mają być protestem przeciw krzywdzie mniejszości narodowych i przeciw białemu terrorowi w Polsce. Wszyscy wrogowie Polski będą żerowali na trupie Engla — i wkrótce p. Wyganowski zostanie ogłoszony we Francji, Anglii, Włoszech i w innych krajach, w których agitacja rosyjsko-niemiecka potrafi „nieporozumienie” p. Wyganowskiego wyzyskać na naszą niekorzyść... i będzie mogła powołać się na takie fakty, jak „fakt łódzki”.

Pan Wyganowski, b. mieszkaniec m. Łodzi, powinien się przenieść z Warszawy do dawnego miejsca pobytu. Nie mamy nic przeciwko temu, aby go „zaopatrzyć na drogę” w order jeszcze nie stworzony, który jednak należy się „przefarbowanym” polakom, wszystkim fagasom carskim i niemieckim, nie wyłączając pokrzywdzonego orderowo Aleksandra Świętochowskiego, byłego „posła Prawdy”, który także zapominał o tem, że „ulubieńcy bogów umierają młodo” — albo... albo wędrują na łamach „Gazety Warszawskiej”, zamiast wsiadając na pociąg do Łodzi, aby do Łodzi, co stracił „wiarę” po bankructwie dawnej pracy organizacyjnej, a ograniczonej politycznie aż nadto...

Ministra „namawiającego do śmierci”, wyrokowego pośrednika między Bogu ducha winnym prezydentem a łaknącymi krwi władzami łódzkimi — namawiamy do ustąpienia — i mamy przeświadczenie, że gdy Rzeczypospolita stworzy nową instytucję, która będzie przeciwieństwem (antytezą) ministerstwa sprawiedliwości — wtedy pana Wyganowskiego można będzie powołać na szefa tej instytucji i na „łódzkiego” doradcę w sprawach „wyjątkowych”.

Tadeusz Wieniawa-Długoszowski.

Wieści z Rosji.

W BYLEJ REZYDENCJI CARÓW.

Prasa zagraniczna podaje ciekawy opis siedziby ex-carów w Carskim Siole.

„Przybyliśmy — pisze jeden ze zwiedzających — do pałacu, w którym Mikołaj II spędzał większość swego panowania i gdzie przebywał jako więzień po swej abdykacji, aż do czasu, gdy wysłany został do Tobolska.

Wśród olbrzymich sal pałacu, wśród pustki bezmiernej — znajduje się pokój, w którym mieszczą się dziećce zabawki.

Zwiedzamy dawną pokój komendanta warty pałacowej — w którym właśnie znajdują się zabawki carewiczki Aleksieja.

A sa tu rzeczy piękne. Potężny pociąg, w którym lokomotywa wykonana jest z nadzwyczajną precyzją.

W przedziałach — lalki półmistrzowej wielkości. Tor kolejowy, domek dróżnika, zabudowania stacyjne — wszystko wykonane tak precyzyjnie, że mogłoby śmiało mieszkać tu plemię karzełków.

Pod szklanym kloszem mieszczą się żołnierze wszelkich gatunków broni, uformowani w bataliony.

Pod innym kloszem — wielkie miasto rosyjskie, z kopułami, białymi wieżami i wielkimi placami.

Dalej znowu basen z wodą, a na niej okręty rosyjskiej floty wojennej. Fabryki i kopalnie, wieś i miasta, całe życie współczesnej Rosji, niestety w miniaturze, w zabawce dzieciecej, znajdowało się w pokoju carewiczki.

Nacisnąć trzeba tylko było guziczek, a robotnicy wychodzili z głębi kopalni i ładowali węgiel na wózki, a okręty w basenie rozpoczynały zawziętą walkę.

Najciekawszym jest jednak tor do saneczkowania, który znajduje się w olbrzymiej sali, wykładanej marmurem. Przy jednej ze ścian, stoi wzniesienie bogate, udrapowane purpurą.

Od trybunu prowadzi gładki tor do saneczkowania, również przybrany w draperie.

Na torze tym saneczkował się car Mikołaj i jego dzieci: była to ulubiona rozrywka carskiej rodziny.

Nawet podczas wielkich dziełowych i społecznych przewrotów, jakie Rosja pod rządami Mikołaja przeżywała — znajdował car codziennie jedną lub dwie godziny, aby wśród dziecięcych śmiechów na saneczkach oderwać się od codziennych trosk i udręceń.

Podobno Mikołaj ani jednego dnia nie opuszczał tej rozrywki i często bardzo musieli ministrowie, którzy przybywali w nierzadych sprawach pierwszorzędnych znaczenia — przez długie godziny wyczekiwać, bo władca Rosji „zajęty był” saneczkowaniem.

W przyległej sali pod wielkim kloszem znajduje się zegar, arcydzieło w swoim rodzaju. W dwóch wielkich kregach ułożono 50 cyferblatów, na których wskazówki określały czas w pięćdziesięciu miastach. Trzy środkowe wskazywały dokładnie czas w Moskwie, Piotrogradzie i Nowym Jorku.

W tym pokoju przyjmowała zwykle carowa słynnego Rasputina.

TRUSTY SOWIECKIE.

Z rozkazu komisariatu skarbu dokonano rewizji w trustach na Ukrainie sowieckiej. W „Ukopolu” treścisz, „Donbassilakacie” i „Bachsoltreście” (określenia, bliżej nieznane) wykryto cały szereg nadużyć. Bilanse tak są zaplanowane, że postanowiono zaareztować wszystkich buchalterów w trustach i pociągnąć ich do odpowiedzialności sądowej.

REDUKCJE W FABRYKACH NA URALU.

Na mocy postanowienia komisariatu gospodarstwa sowieckiego — etat robotników we wszystkich fabrykach na Uralu ma być zredukowany o 20 procent.

W nowoczesnym Babilonie.

Wycieczka do Nowego Jorku.

Nowy Jork, w maju.

Mój hotel liczy dwadzieścia pięter. Ja mieszkam na szóstym. — Właściwie jest to już ósme, gdyż parter i antresola są niezmiernie wysokie.

Osiem pięter — to nie żadna wysokość w Ameryce.

Albo pomimo to, gdy wyglądam przez okno, wydaje się sobie sam jak Guliwer pomiędzy karłami.

Miniaturowe laleczki pedza tysiacyami po gładkim asfalcie. Miniaturowe auta i powoziki suna w długich szeregach jedno za drugim.

Ogród na dachu dwudziestego piętra. Tam na dole, w krainie karłów, wiszą maleńkie domki, kosiółki, dworce a tam hen na horyzoncie zachodzące słońce, które rzuca na to wszystko swe złote strzały. Okreciki, jak zabawki, domki „tylko” dziewięciopiętrowe! Zielone łaki Staten Island i sine wody morza!

A tam dalej Long Island i New Jersey, a podemną gdzieś nisko w przepaści Broadway, który z tej wysokości czyni wrażenie pudełka z zabawkami!

Winda z szumem spada na dół w królestwo olbrzymów.

Masa, masa ludzka! Jest to pojęcie, którego ilustracje można po znać najlepiej w Ameryce.

W cięciu pracują miliony, zbite, jak mrowisko. Każdy dom, to małe miasteczko. Każde piętro — to wielkomińska ulica z setkami szwylów i przedsiębiorstw.

Drzwi we drzwi pracują banki, towarzystwa ubezpieczeniowe, dentysta, lekarz, adwokat, dziennikarz, handlarz węglem, jubiler i dziesiątki innych.

Pomiędzy piętami suna bezustannie windy. Jest ich cztery, sześć, a nawet osiem w jednym rzędzie. Wszędzie ścisła, ale nikt nie traci czasu, ani słów. Dwa słowa — i jedziesz gdzie należy.

Parter każdego domu wygląda zupełnie jednakowo: sklep z cygarami, zegarmistrz, kwaciarnia, sklep z kapelusznymi i mała restauracja polaczona ze sklepem kolonialnym.

Punktualnie w południe całe to mrowisko wylega na ulice. Pragną oni wykorzystać przerwę w pracy i zaczernić powietrze.

W ciągu kilku minut wszystkie kluby są przepełnione. Rozpoczyna się szturm do bufetu, szybkie spożywanie darów bożych stałych i płynnych, a o godzinie drugiej nie znajdzie tu już żywej duszy.

O godzinie piętej po południu rozpoczyna się wielki „rush-hour”. Jak szumiący potok spływa ta cała olbrzymia masa pracowników na ulice i rozpycha się i potrafiąc pedzi do aut, tramwajów, kolei podziemnych, dorożek i promów.

Wyzwolenie! Odpocznę!

Na ulicach nowojorskich wszelkie samowola, wszelkie wybryki temperamentu kończą się tam, gdzie zaczyna się władza policjanta. Jest to wprost zadziwiające, jak ten milijacy wołoski ludźki poczytywać słucha nakazów policji!

W Nowym Jorku o wiele wie-

cej rzeczy jest zabronione, niż nawet w Berlinie. Policjant nie mówi tu nigdy głośno i nigdy się nie irytuje. Jeżeli zaś sytuacja stała się zawiłana, potężna jego reka zadaje kilka bokserkich uderzeń — porządek jest przywrócony.

Nikt się o to nie obraża, gdyż jest business policjanta, a każdy amerykański szanuje business swego bliźniego.

Na wielkich ulicach, przy każdym przecięciu stacjonuje po dwóch policjantów, którzy ruchem swej paleczki regulują rzekę pieszych i aut i powozów, toczących się dzień i noc po jezdni.

Na niektórych ulicach policjant umieszczony jest w szklanej klatce, skąd wysiła żółte, czerwone, czy zielone światła jako sygnały regulujące ruch.

Gdy zaś straż ogniowa pedzi w szalonym pośpiechu przez ulice, wszystkie światła wyskakują od razu i cały ruch uliczny zamiera, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej.

Ale masę amerykańską sa dokładnie wtresowane i stosują się z zadziwiającą karnością do wszelkich przepisów. Kto nie jedzie koleją podziemną lub tramwajem, wie dobrze, że może się tylko dostać do celu, gdy będzie czekał. Każdy piechur odpoczywa co kilka minut przy przecięciu ulic. Musi przystanąć i czeka tak długo, dopóki policjant nie zatrzyma lawiny toczących się pojazdów i nie pozwoli grupie pieszych przepłynąć na drugą stronę.

Koni prawie zupełnie już nie ma na przywrotnych ulicach. Gdzieś tam na przedmieściu kursują oczywiście jeszcze wozy zapreżone w konie, ale sa to już ostatni mohikanie.

Tylko poczta amerykańska posługuje się jeszcze koniami. Czynniki to wrażenie anachronizmu i ogromnie obózna ruch.

Wszystko jest tu w masie! Ludzie, światła, hałas, a nawet dokuczliwe muchy.

„Biała droga” nazywa nowojorskie te czesie „broadway”, która ciągnie się pomiędzy czternastą a pięćdziesiątą avenue.

Wszystkie teatry, kina, dancin-gi, kabarety, bary, kawiarnie, restauracje i hotele znajdziemy na tej linii.

Potoki światła zamieniają tu noc na jasny dzień! Oślepią nas reklama, ogłusza hałas dolatujący z wszelkich kabaretów i dancin-gów, a potok ludzki porwuje nas, toczy i wyrzuca na jakiś brzeg, czy to teatru, czy nawet baru.

Oczy i uszy przyzwyczaja się powoli do tej grzmiącej symfonii życia ulicznego.

Czas ulatnie niespostrzeżenie! Już północ, gdyż sklepy zasuwają swe kraty.

Ale oświecenie nie zmienia się. Ruch pozostaje ten sam, i hałas niesie się także.

Znużony człowiek poczyni marzyć o odpoczynku. Ale to nie tak łatwe. Trzeba przebyć znów całe piekło tego szalonego wiru zanim się znajdzie spoczynek.

G. Bernhard.

Budienny gotów do wojny.

Rumunja rezygnuje ze sojuszu z Francją, aby nie narażać sobie Anglii.

Wedle wiadomości z Kamieńca nadolskiego, wzmocniono w ostatnich dniach znacznie siły czerwonej armii na wielu odcinkach granicy sowiecko-rumunjskiej.

Przybyło kilka nowych pułków jazdy czerwonej. Budienny — który bawił tam w celu inspekcji po granicznych formacjach wojskowych, obecnie już wrócił do Moskwy. Twierdzą, że Budienny miał oświadczyć, iż znalazł armię potężniejszą zupełnie gotową do obrony Ukrainy ewentualnym napadem Rumunji.

Wedle informacji prasy sowieckiej, Rumunja miała rzekomo zrezygnować z zawarcia sojuszu wojskowego z Francją, obawiając się bowiem, iż finansowanie tego sojuszu w obecnej chwili, gdy sto-

sunki z sąsiadami sa nadzwyczaj napięte, może spowodować nie zadowolenie w Londynie. Według tej samej prasy Rumunja czyni obecnie wszelkie wysiłki, aby zapewnić sobie poparcie Anglii, która jednak ma uzależnić swoje stanowisko od prowadzenia bezwzględnej polityki pokojowej wobec sowieków, oraz umiarkowania wszelkich sojuszków wzmacniających obawę wojny.

Zabiegi swoje o pozyskanie sympatii w Anglii, rząd sowiecki poprzec zamierza zamówieniami na armaty i inne materiały wojenne w ogólnej kwocie miliona funtów szterlingów. W ten sposób odbywa się „rywalizacja” pomiędzy sowiekami a Rumunji na terenie londyńskim.

Królewska para włoska w Londynie

Onegdaj wieczorem na cześć włoskiej pary królewskiej wydano w pałacu Buckingham bankiet. Król angielski w toaście podkreślił wezły przyjaźni, łączące oba kraje, które teraz wraz z innymi sojusznikami pracują dla

sprawy pokoju i postępu.

W odpowiedzi swej król włoski wyraził pragnienie, aby wezły te, łączące zawsze oba narody i w przyszłości, jeszcze bardziej się wzmocniły dla obrony interesów obu krajów

Przesilenia gabinetowego w Rumunji nie będzie.

Poselstwo rumuńskie formalnie dementuje wiadomość, podaną przez jedną z agencji telegraficznych, a potwierzoną przez niektóre gazety, o rzekomej dymisji rządu p. Brătianu i o ewentualnym powstaniu nowego rządu pod przewodnictwem p. Jorgi. Data powrotu króla do stoli-

cy była wyznaczona jeszcze pod czas wyjazdu na ten dzień, kiedy miał miejsce, a to w celu umożliwienia królowi odbycia rewii z powodu święta narodowego. Przejazd króla nie został przyspieszony specjalnymi wydarzeniami natury politycznej

CO DZIEŃ NIESIE?

M A J

28

Środa

Dziś: Augustyna B.W.
Jutro: Wniebowstap.
—
Wschód s. o g. 5.56
Zachód s. o g. 7.45
Wschód ks. 2.07 pm
Zachód ks. 2.08 pm.
Dług. dnia 16 g. 28 m.
Przyb. dnia 8 g. 21 m.

Biblioteka Publiczna, ul. Andrzeja 14. Otwarta w dni powszednie od godz. 3 — 9 wiecz.

Miejska galeria sztuki, park im. Sienkiewicza. Zbiorkowa wystawa artystów łódzkich i bieżące malarstwa, grafiki i rzeźnictwa. Otwarta od 10 r. do 8.

Czytelnia „Tow. przyjaciół Francji“, ul. Piotrkowska 103, otwarta codziennie z wyjątkiem piątków od 6—8 wiecz.

Dzisiejsze widowiska.

Teatr Miejski:

„Wywczasy Don Juana“.

Teatr Popularny:

„Chrześcijański wojenny“.

„Casino“:

„Atlantyda“.

„Luna“:

„Don Carlos i Elżbieta“ (Filip II).

„Odeon“:

„Ślubowanie“.

„Grand-Kino“:

Królowa Wysp Samoańskich.

Kino Filharmonja:

„Sultanka“.

Kino współdz. pracown. państwowych:

„Bigamja“, potężny dramat życiowy.

„Nowości“:

„Niedostępne miasto“.

CASINO

Dziś!

Dziś!

Dramat w 2-eh seriach osnuty na tle rozgłosnej powieści

Pierre Benoit p. t.

Atlantyda

ODEON

Dziś!

Dziś!

Ślubowanie

(Tajjes Khaff).

Wielki film z życia żydowskiego w 12 aktach.

W rolach głównych: E. R. Kamińska, Ida Kamińska, Zygmunt Turkow i in.

Nowe kursy szoferskie

zawodowe i amatorskie
POLSKIEJ Y.M.C.A.

Kurs zawodowy obejmuje: teorię silników spalinowych, praktykę montażu i jazdę na osobowych i ciężarowych samochodach.

1-o miesięczne kursy dżentelmeńskie (teoria i jazda).

Informacji udziela i zapisy przyjmuje Szkoła Szofarów, Al. Kościuszki 68, po godz. 10—1 i od 4—9.

Laboratorium chemiczno-bakterjologiczne.

Dr. med. St. Hurwicz

ul. 6 Sierpnia (Benedykta) 15/17

(Klinika D-ra Druetina)

Analizy moczu, krwi, kału, płwocin itp. Badanie anatomiczno-patologiczne nowotworów, wyskrobów i t. d.

Mieszkanie prywatne: Wschodnia 76

Dr. med. Gustawa

Zand-Tenenbaumowa

Choroby Kobiety i Akuszeria

Wólczanka Nr. 4.

Przyjmuje od godz. 3 do 6 po poł.

Prace oświatowe samorządu.

Pierwsze miesiące r. b. zaznaczyły się wzmocnioną działalnością miejskich władz oświatowych na polu szkolnictwa początkowego i powszechnego. W dniu 1 marca otwarte zostało przy ulicy Radwańskiej nr. 42 — I-sze miejskie ochrónico-przedszkole dla dzieci przychodnich w wieku od lat 4—6. Do zakładu tego, który dzięki odpowiedniemu zaopatrzeniu i kwalifikacjom personelu może być wzorem dla instytucji tego rodzaju, przewiezto narazie 32 dzieci, zamierzając jednak jeszcze w roku bieżącym utworzyć drugi komplet na 40 miejsc.

Przy szkole dla moralnie zaniedbanych zorganizowana została nauka koszykarstwa i stolarstwa, odbywająca się pod kierunkiem specjalistów — instruktorów. Szkoła gospodarstwa domowego została przeniesiona do odpowiednio urządzonego lokalu przy ulicy Konstantynowskiej 27.

Sekcja higieny szkolnej przy-

stawiła do zebrania należytego materiału w związku z zamierzonym zorganizowaniem ośkolonii letnich w kilku punktach dla działu szkół powszechnych.

Intensywna praca rozwijała oddział szkolnictwa również w dziedzinie gospodarczym, przygotowując odpowiednie wnioski w sprawie remontów, które muszą być przeprowadzone w czasie ferii letnich w szkołach.

Przy oddziale szkolnictwa zorganizowana została poradnia dla abiturientów miejskich szkół powszechnych, udzielająca porad i informacji w sprawie wstępu do szkół średnich i specjalnych.

Różnorodność i wielostronność prac oświatowych, inicjowanych i prowadzonych przez miejskie władze oświatowe wskazują na ogromną potrzebę szkolnych Łodzi. Potrzebom tym wydział oświaty i kultury w miarę zasobów i możliwości sprostać się stara.

Przygotowania do wyborów

do gminy żydowskiej.

Onegdaj odbyło się posiedzenie komisji wyborczej przy zarządzie gminy wyznaniowej żydowskiej. Przewiezto do wiadomości zarządzenie komisariatu rządu w sprawie ponownego wyłożenia listy wyborców na jej zestawieniu na 8 dni w terminie od 28 b. m. do 4 czerwca włącznie. Prawo wglądu przysługuje wyborcom, ubiegającym się do figurowania na liście; pozatem komisja uchwalała dopuścić do wglądu upoważnionych przedstawicieli poszczególnych grup, które złożyły deklaracje, po trzech przedstawicieli z każdej grupy.

Następnie komisja uchwalała dalszy kalendarz wyborczy, orzuwając dzień wyborów na 29 czerwca r. b. Kalendarz ten przedstawia się, jak następuje:

28 maja — 4 czerwca wyłożenie listy i reklamacja do kancelarii;

5-go — 12-go czerwca reklamacje do komisariatu rządu;

13 — 22 czerwca zgłoszenie list kandydatów;

24 czerwca ostatni termin poprawek i poprawki list;

26 czerwca ogłoszenie ważnych list kandydatów;

29 czerwca wybory.

Do dnia 1 czerwca ułożony będzie dokładny protokół deklaracji nieuwzględnionych wraz z motywami. Wbitywały bowiem nieraz kilkakrotnie deklaracje jednej i tej samej osoby (czasami wniesionej ponadto do listy wyborczej, jako opłacającej składkę gminną), bądź to przez kilka partii, bądź też przez jedną i tę samą grupę. Część deklaracji (drobna ilość), nieuwzględniona z powodu wadliwego wypełnienia, jak to brak imienia, wieku lub miejsca zamieszkania. Tyczy się to w różnej ilości deklaracji, wniesionych przez wszystkie grupy.

Uchwalono podział miasta na pojedyncze okręgi wyborcze, w ten sposób, by na każdy okręg wyborczy wypadło od 800 do 1.000 wyborców. Postanowiono upoważnić 3 członków komisji pp. Sz. Edeimana, M. Helmana i A. Sztajnhorna, do zajęcia się wyszukiwaniem lokali wyborczych i podziału miasta na obwody wyborcze.

Sposób na wydostanie gotówki od dłużnika.

Laja Cwaig, zamieszkała przy ulicy Drenowskiej handluje sobie drobiazgi. Interes prowadzi od dłuższego czasu i znana jest w sferach sferach swej branży w mieście i okolicy.

W dzisiejszych ciężkich czasach Laja nie zawsze ma gotówkę na zapłatę swych dostawców przy odbiorze żywego towaru, to też albo wystawia weksle, albo po zostaje dłużna w otwartym rachunku. Handlarze i dostawcy znają ją, uważają ją za odpowiedzialną osobę i po większej części godzą się na takie warunki zapłaty. Laja lubi czasem jednak szykanować i zwlekać z zapłatą. Nawet weksle swoje lubi dopuszczać do protestu.

W dniu wczorajszym zgłosił się do niej handlarz drobiu Idef Dawidowicz ze Złoczowa z transportem 13 sztuk tuczonej gęsi. Laja zgodziła się z nim kupić cały transport, jednak pełnej ceny kupna nie mogła zapłacić gotówką, jak tego domagał się kupiec, który wierzył, że wobec nieregulowania dawn. rachunku, nie może na kredyt oddawać nowego transportu. W dzisiejszych bowiem czasach nie można właściwie nikomu wierzyć i o nikim z całą stanowczością powiedzieć, czy jutro nie najeździe.

Laja bynajmniej nie obraziła się, że nie przeżyła aluzji, lecz poczęła zawzięcie się targować. Ugodziła się wreszcie, że Dawidowicz na poczet transportu otrzyma 140 milionów marek, a na resztę, poczeka kilka dni.

Dawidowicz przyjął 140 milionów marek, przeliczył je skrupulatnie, poczem pojechał do domu. Nie odszedł jednak sam, lecz wypuściwszy gęsi z podwórka, najspokojniej w świecie pedził je do miasta.

Zerwała się jak wicher Laja i pedziła za Dawidowiczem, wołając, by oddał gęsi.

Ten z zimną krwią oświadczył jej: Daj gotówkę, to dam gęsi.

— Przecież zapłaciłam 140 milionów marek.

— To ja pożyczę na stary dług, a nowego kredytu niefamam zamiaru udzielać!

— O starym długu nie było między nami mowy.

— Ale ja o nim tylko myślałam i cały czas się martwiłam, jak go wydostać.

Laja, widząc, że tak sprytnie została wyprowadzona w pole, wyszczerzyła pięknieją awanturę, zaalarmowała wszystkich swoich krewnych i znajomych i w niebogłose darła się, że ją oszukano, okradziono i gwałt.

Wreszcie zawiła się na miejscu policja, wyratowała z opresji Dawidowicza i jego gęsi, i całe towarzystwo wraz z żywym towarem znalazło się w policy.

Tam podobno Dawidowicz sprawnie wygrał i w spokoju odszedł z gęsiami.

Laji grozi poważnie żółtaczka z nadmiaru wzruszenia.

Szewcy tuczą się wyzyskiem najbiedniejszych.

Kogo stać na nowe obuwie, płaci mniejszy haracz szewcom niż ten, kto musi naprawiać dziury w obuwu starym.

W dzisiejszym „Głosie Polskim“ zamieściliśmy komunikat wydziału statystycznego magistratu, dotyczący wzrostu cen hurtowych. Według tego komunikatu, opracowanego na podstawie najbardziej miarodajnych szczegółów, wzrosła między innymi cena skóry w handlu hurtowym zaledwie o niespełna 3 procent w stosunku do cen przedwojennych. Jest to tak minimalny wzrost cen, że właściwie mówić można, iż ceny wszelkiego rodzaju skór obuwowych i galanterii, oraz rymarskich, doszły do paritetu przedwojennego i na nim pozostają.

Tymczasem obuwie i robota szewska w stosunku do przedwojennych, zdrożały niewspółmiernie. — Przeciętnie kosztuje para lepszego obuwia od 40 do 50 złotych, czyli okragło 15 do 20 przedwojennych rubli. Oznacza to wzrost cen o blisko 100 procent.

Ten wzrost cen nie jest usprawiedliwiony i należy położyć go na karb li tylko rozwzdrzenia szewców, którzy nieuznają zarobków poniżej 100 procent.

Jeszcze bardziej wzrosły ceny reperacji obuwia. I tak np. zelowanie obuwia kosztuje od 12 do 15 milionów marek, czyli 2.60 do 3.20 przedwojennych rubli.

Przed wojną ta sama para zelowek kosztowała najwyżej 60 kopieek. Ceny tej roboty wstrubowali zatem szewcy o 5000 procent nad normy przedwojenne, mimo, że podstawowy materiał, to jest skóra podeszwowa nie zdrożała.

Stosunkowo mniejsze podrożenie obuwia w porównaniu z reperacją tłumaczy się tem, że ceny obuwia zależne są jednak od popytu, który nie jest świetny, gdyż ludność świadoma tego, że jest bezwzględnie wzywskiwana, unika na ogół kupna nowego obuwia, a stara się jakakolwiek zachować obuwie posiadane. Handlarze obuwia nie mogą zatem dyktować dowolnych cen, gdyż ewentualna ich zwzżka sprowadziłaby kompletny zastój u nich.

Zelowac i naprawiac obuwie musi jednak każdy, kto nie chce chłodzić boso, lub świecić dziurami. Okoliczność ta wzywskuja szewcy i czego nie mogą zedrzeć na gotowym obuwu zdzierają na reperacjach.

Jeżeli przed wojną para obuwia kosztowała przeciętnie 10 rubli, to

para zelowek kosztowała najwyżej 60 kopieek, czyli 17-ta część ceny nowego obuwia. Stosunek ten do tego stopnia zniekształcony został przez szewców lichwiarzy, że dzisiaj koszt zelowania stanowi jedna piąta kosztu nowego obuwia.

Zdawałoby się, że wobec bezczynności władz w sprawie zwalczania lichwy rzemieślniczej ludność jest bezbronna wobec zachłanności szewców, gdyż, jak wspomnieliśmy, każdy jednak stara się nosić na nogach obuwie całe i potrzebnie płaci haracz mistrzom kopyta.

Tak jednak nie jest. Nietylko u nas szewcy są tak zachłanni. — Obiawu lichwy tej młotkiej branży odczuwano również w innych krajach. Umiano sobie jednak przedkoraadzić. Organizowano mianowicie przy wszystkich spółdzielniach, a nawet przy stowarzyszeniach zawodowych warsztaty reperacyjne, które przyjmowały reperacje po cenie własnego kosztu z doliczeniem minimalnego procentu na koszt administracyjny i w ten sposób błyskawicznie spowodowano zniżkę taryf szewskich.

U nas możnaby tego rodzaju pomoc również łatwo zorganizować. Pomyśleć o tem winny związek robotniczy i zrzeszenia pracownicze. Koszt urządzenia takiego warsztatu reperacyjnego nie są wielkie i łatwe do zamortyzowania w krótkim czasie. Pracowników fachowych również nie brakuje, gdyż wielu bezrobotnych pracowników szewskich naprożno miesiacami nieraz szuka zajęcia.

Korona z głowy nie zleciałaby również i inteligentom, zwłaszcza pozostającym bez zajęcia, gdyby organizowali na własny rachunek warsztaty reperacyjne. W Anglii do takiej pracy brali się nawet zde mobilizowani oficerowie armii i znajdując stały i obfity zarobek, wielce przysłużyli się ogółowi przez zwalczanie lichwy i wzywsku. Sądziemy, że nawet potrzebna skromna pomoc kredytowa nie tak trudno byłoby otrzymać na taki cel. Powodzenie takich pracowni byłoby zapewnione, świadczy o tem zreszta fakt, że przynajmniej jedna trzecia część naszych t. zw. dozorców domowych trudni się partaczka szewska i reperuje obuwie po cenach znacznie niższych niż szewcy, a jednak wyłącznie z tego źródła czerpie obficie środki na utrzymanie.

Nierząd się wzmacnia.

Z nadejściem wiosny i ciepła wzniósł się jeszcze bardziej kryzys, jaki przeżywa Łódź i z dnia na dzień rośnie liczba bezrobotnych. Pomiedzy bezrobotnymi, zwolnionymi z fabryk i przedsiębiorstw, znajduje się spora liczba dziewczyn i kobiet, nie mających w Łodzi niktogo. Ponieważ w dodatku w niejednym gospodarstwie domowym przeprowadza się redukcję służby, której ofiara pada ją przeważnie służące t. zw. do wszystkiego i pokojówki, armia bezrobotnych kobiet powiększa się w Łodzi stale.

Nie wszystkie te bezrobotne kobiety wracają na wieś, skąd przyszły. Wiele z nich za wszelką cenę pragnie pozostać w mieście, kozystając z tego, że lato w znacznym stopniu upraszcza kwestie mieszkaniową.

W związku z tem w zastraszającym sposobie rośnie liczba noworeje-

strowanych w urzędzie sanitarno-objezajowym kobiet i dziewcząt.

Nie zgłaszają się one tam dobrowolnie celem otrzymania odpowiedniej legitymacji, lecz sprowadzane są zwykle przez funkcjonariuszy urzędu objezajowego lub policję, jako przylapane na uprzedzeniu nierządu w parkach, ogrodach, na pustych placach podmiejskich, w ciemnych i głębokich bramach domów, a nawet na omentarzach.

W dniu wczorajszym doprowadzono do urzędu objezajowego Józefę Błaszczuk, która posterunkowo zastała w towarzystwie dwóch podstępnych mężczyzn na polu w okolicy dworca kaliskiego na „gorącym uczynku“.

Jak się okazało, aresztowana do tychezas w urzędzie objezajowym zarejestrowana nie była, uprawiała jednak swój proceder od kilku tygodni, pozostając bez innego zajęcia.

Bójka u Gostomskiego.

Epidemia burd i bijatyk, powstała w Sali Malinowej Grand Hotelu, przerzuca się na coraz to inne lokale i poczyną grasować w Łodzi w białych dzień. Wczoraj w godzinach popołudniowych wiodłina takiej gorszej awantury była cukiernia Gostomskiego.

Około godziny 6 wieczorem zjawili się w cukierni tej znanzy szerocho w naszym mieście, z sensacyjnej sprawy sądowej pan w stanie nieprzytomnym i pozał-

głośno czynić najróżniejsze uwagi i sprostowania a propoz bedacich w cukierni gości.

Uwagami temi uczul się do kłnie ty p. M. K., właściciel drukarni przy ulicy Zachodniej i spoliczkował krewnego jegomości.

Zamet i awantura, jaka w następstwie tego wzbuchła w lokalu zlikwidowała policja odnowadzać obu czupurnych gości do komisariatu dla spisania protokołu.

Kacik dla pań.

HUPA - LUPA.

Najnowsza sensacja w parwach klubach tanecznych i na herbatkach tańczących jest importowany świeżo z Chile taniec hupa-lupa, zawdziejający dziewczyną swą nazwę tytułowi sentimentalnej piosenki, bardzo śpiewanej w Ameryce południowej.

Pomimo jednak dziwaczności tej nazwy nowy taniec odznacza się ma prostotą i elegancją, młaka „pas“ niezgrabnych, oraz wszelkich ruchów, które uwadniają pewną część ciała kosztem ogólnej harmonii. Związka, zdaniem jednego z mistrzów tańca — w hupa-lupa „zdetronizowane sa biodra“. Charakterystyczne sa w tym tańcu drobne kroki z lekkiem przysuwaniem, przystem „croises“, obroty i „pointy“.

DZIECKO PRZEDWZYSTKIEM.

Mrs. Hilton Philipson jest członkiem angielskiego parlamentu.

Równocześnie jednak jest matką kilkumiesięcznego chłopczyka o bardzo waleś budowie, który wymaga szczególnej opieki.

Obrady parlamentarne i uczestnictwo w komisiach, oraz posiedzeniach klubowych zabierały po stronie tyle czasu, iż nie mogła się zajmować swym dzieckiem.

W duszy kobiety powstał konflikt. Dziecko czy polityka?

Dziecko zwyciężyło i Mrs. Hilton Philipson wniosła rezygnację z godności poselskiej, aby tem skutecznie oddać się wychowaniu dziecka.

Czym ten wzbudził w całym kraju ogromne uznanie dla polski, ale równocześnie wywołał w klubach parlamentarnych dyskusję, czy należało stawiać na kandydatki do parlamentu osoby, które sa lub mogą zostać matkami?

LEKARZ — KUPIEC.

Nawet w Ameryce, owym kraju nadzwyczajnych sensacji, wypadek poniższy wywarł zdumienie.

W Chicago zachorowało dziecko dwuletnie robotnicy Eleonory Nodine. Wezwany lekarz dr. Wilson stwierdził zapalenie płuc i leczył je w domu. Ku końcowi kuracji dr. Wilson zażądał 217 dolarów honorarium. Matka zgodziła się na tą sumę, lecz oznajmiła, że zarabia tylko 20 dolarów na tydzień i należność może spłacić ratami. Natychmiast dr. W. zgłosił się do Nodine i zapewnił, iż dla bliźszego zbadania stanu małej pacjentki zawiąże ją do szpitala Englewood.

Gdy matka zgłosiła się po dzie-

cko, zarząd szpitala nie mógł tego wykonać bez pozwolenia dr. Wilsona, który nie tał się, iż zażądał je do czasu, gdy N. ureguluje należność.

Matka uciekła się o pośrednictwo do tow. opieki nad dziećmi, które lekarza zaskarżyło do sądu. Sędzia Dawid wziął od Nodine nową zobowiązanie uiszczenia należności i nakazał natychmiastowe wydanie „fantu“.

CÓRKA ELEONORY DUSE.

Mało komu był wiadomy fakt, że zmarła niedawno wielka artystka w roku 1863 wyszła za mąż za Teobalda Checci, artystę dramatycznego z Neapolu. Z małżeństwa tego miała córkę Emichette, która dziś liczy około 40 lat. Po siedemnastoletnim pożyciu Duse rozstała się z mężem, który opuścił scenę i wstąpił na służbę rządu argentyńskiego. Był przez jakiś czas konsulem argentyńskim w Newhaven, a następnie w Lizbonie, gdzie przed paru laty zmarł. Jego córka wychowywała się zagranicą, a następnie wyszła za mąż za profesora Edwarda Borroughs z uniwersytetu w Cambridge. Dwoje ich dzieci, syn Robert i córka Eleonora sa wnucami zmarłej artystki.

Matka i córka kochały się bardzo i widwały się co roku. Eleonora Duse nie znosiła klimatu londyńskiego, więc nie mogła zamieszkiwać stałe z córką i wnucami.

OSTATNI JAPOŃSKI OKRET MAŁŻEŃSKI.

Z powodu uchwalenia przez kongres Stanów Zjednoczonych prawa, zabraniającego zupełnie wstępu do Ameryki imigrantom japońskim od dnia 1 lipca r. b. z San Francisco donoszą, że dnia 12 maja wypłynął stamtąd do Japonii japoński parowiec „Korea Maru“, uwożąc dwustu młodych japończyków, mieszkających na terytorium Stanów Zjednoczonych.

Młodzińcy ci śpieszą do Japonii, aby przywieźć sobie stamtąd żony, zanim nie będzie zupełnie zamknięta dla japończyków granica Stanów Zjednoczonych.

Dotychczas takie japońskie okrety małżeńskie były w San Francisco zjawiskiem, powtarzającym się regularnie co kilka miesięcy, zapewne jednak „Korea Maru“ będzie już ostatnim okretem takim dla japończyków, mieszkających w Stanach Zjednoczonych i nie mogących znaleźć dla siebie małżonek na terytorium amerykańskim.

Od wielkości do śmieszności jeden krok tylko.

KRÓLEWSKIE HONORY DLA DLA GÓRNIKA.

Ubiegłego poniedziałku opuścił James Brown ze swoją żoną swoje skromne mieszkanko, złożone z pokoju i kuchni, aby w przeciągu 10 dni odbierać hołdy, przeznaczone dla króla i królowej. Mianowicie p. Brown, po obieciu rządów przez partię pracy, został mianowany lordem komisarzem kościoła szkockiego i musi spełniać czynności, przywiązane do tego urzędu. Stosownie do prastarej tradycji, co zresztą zaznaczone jest wyraźnie w dekreście mianowania, ma on na tem stanowisku być traktowany, jako „króla zausznik i wielce ukochany siostrzeniec“.

Z tego powodu małżeństwo B. będzie odbierać honory królewskie.

Przybycie „siostrzeńca króla“ do pałacu w Edynburgu, zostanie uczczone 21 strzałami armatnimi, delegacji gminy wreeza mu klucze od miasta, a zebranie dostojników kościoła otworzy mowa tronowa. Przez 10 dni „Ich Wysokości“ będą urzędowały wspaniale przyjęcia i festyny, jak przystało na króla i królową. Potem zaś powrócą do swojego skromnego domku, aby kontynuować dalej życie robotnika - górnika.

Pan Brown jest mianowicie z zawodu robotnikiem w kopalni, i tylko dojeżdża do rządu partii pracy zawiązującej swoje wysokie odznaczenie.

Dzienniki angielskie podnoszą, że wyprawdzie James Brown i jego żona nie pochodzą z arystokracji i nie nawykli obracać się w kołach dworskich, ale mimo to okazują wiele godności, powagi i należytego zrozumienia dla obowiązków, jakie im obecna godność narzuca.

HUGO STINNES PO ŚMIERCI PŁACI PODATKI.

Stynny, nie żyjący już miliardier niemiecki Hugo Stinnes, jak wiadomo, uniknął płacenia podatków i nie był skłonnym wogóle popierać czystego skarbu. Po jego śmierci urząd podatkowy oraz egzekutor skarbów skarbu obliczył, iż podatek od majątku w sumie około 600.000.000 dol. ma wynosić nie mniej, jak 175 milj. dol. Spadkobiercy po podnieśli alarm i postanawiają oponować przez wszystkie możliwe instytucje. Skarb, ze swojej strony czyni kroki w celu wywindykowania tej znacznej sumy.

RYKOW MALUJE.

Prezes Sownarkomu, Rykow, urlop swój, uzyskany dla poratowania zdrowia spędził zagranicą i jak się obecnie okazuje we Włoszech. Właśnie pismo włoskie „Epoca“ donosi, że Rykow mieszkał

w hotelu „Victoria“ w Sorrento i namalował aż 13 obrazów, przeważnie widoków morskich, przy czem jeden z tych obrazów ofiarował w upominku właścicielowi hotelu „Victoria“. Obecnie obraz ten umieszczono w jednej z sal hotelu. Wielu z gości proponowało już właścicielowi dość znaczne sumy za odstąpienie obrazu.

NAJNOWSZE WCIELENIE WILHELMA.

Dzienniki nowojorskie donoszą z Berlina, że były cesarz Wilhelm przyłączył się do faszystów. Ta ciekawa nowina kolportowana jest w kołach faszystowskich członków parlamentu niemieckiego przez pp. Wulle i Hitlera, który jest obecnie głównym heroldem skrajnego ruchu monarchistycznego.

Według p. Wulle, były „kaiser“ niemiecki oświadczył niedawno swym gościom w Doorn, że ma wielkie uznanie dla partii „Voelksche“ za ich faszystowską rolę, odegramy w czasie ostatnich wyborów. Na odchodnym b. władca Niemiec ofiarował każdemu ze swych gości znaczek srebrny, który jest emblematem hitlerowskim, noszonym przez uczestników ruchu antysemitki w Bawarii.

Powiadają, że od pewnego czasu Wilhelm studjuje antysemityzm, a został w tym kierunku nawrócony niedawno przez Ludendorffa, oskarżającego żydów, iż oni stali się przyczyną przegranej Niemiec w wojnie światowej. Jest to oczywiście wybieg Ludendorffa, który ta droga chce rozplamić w ex-cesarzu miłość do niemieckich faszystów. Żydzi niemiec cy słusznie są z tego powodu oburzeni na Ludendorffa, albowiem tak w czasie wojny, jak i obecnie mimo prześladowań, jakie ich w Niemczech spotykają, sa przedewszystkiem patriotami niemieckimi, a dopiero potem żydami.

Wilhelm, jak się okazuje, subwencjonuje ponadto materialnie ruch monarchistyczny. Dnia 14-go czerwca odbył się ma w Berlinie, urządzona przez 1 p. gwardii, uroczystość odsłonięcia pomnika na cześć poległych. Będzie to największa demonstracja monarchistyczna, jaka kiedykolwiek widziano w Niemczech. Otóż, celem pokrycia jej kosztów, ex-cesarz wysłał czek na wielką sumę do generała Friedberga, małżonka księżnej Hohenzollern-Sigmaringen, oświadczając, że w razie potrzeby, pokryje także cały deficyt uroczystości.

PRZYGODA FORDA.

Stynny bogacz amerykański, właściciel największej na świecie fabryki samochodów, Ford jechał

niedawno — jak donoszą pisma amerykańskie — drogą górską jedynym ze swych małych, taniach pojazdach.

Nagle spostrzegł na skraj drogi stojący wielki samochód turystyczny, a przy nim jego właściciela, wymachującego rekoma. Po słusznym temu wezwaniu, Ford zatrzymał swój samochód i wyskoczył na drogę.

— „Przepraszam pana — odczytywał się właściciel wielkiego samochodu do milionera — czy nie posiada pan czasem małego klucza do przykrecenia śrub?“

Ford podał mu żądany przyrząd, poczem powrócił do swego drobnego woziku.

Po chwili, naprawiwszy uszkodzenie, właściciel wielkiego samochodu podchodzi do Forda i oddając klucz, wcisną mu jednocześnie do ręki dwa dolary.

— Ależ panie — woła bogacz, śmiejąc się i oddając pieniądze — nie potrzebuje wynagrodzenia. Jestem bogatym człowiekiem!

— Gadaj pan to — odpowiada właściciel wielkiego samochodu — świętej pamięci Abrahamowi Lincolnowi! Pan bogatym człowiekiem? No, proszę! Któryż bogacz jeździłby takim małym, tanim Fordem!

Po tych słowach wzruszył ramionami i wskoczywszy do swego wspaniałego samochodu, odjechał z szybkością stu kilometrów na godzinę.

Czytajcie „GŁOS POLSKI“



Sandaiki, Skorochochy, poleca hurtowo i detalicznie

Fabryka Sandalek i Skorochochów

OGRODOWA № 2

(róg Nowomiejskiej)

(W soboty sklep otwarty). 122-5

Dr. S. Kantor

Specjalista chorób wenerycznych skórnych i włosów.

ul. Piotrkowska 144

róg Ewangelickiej.

Godz. przyjęcia: od 8-2

6-8 w. Dla pań 5-6

SANDAŁKI

s k o r o c h o d y, pantofle domowe zakopiańskie, pantofle

Petersilge

Piotrkowska 83.

ALBERT JEAN.

Zbieracz sztandarów

— Anno, czy wiesz, jaki jest kolor sztandaru zanzibarskiego? — pytał pan Bichelot żony.

— Dai mi pokój z Zanzibarem — odburknęła pani Bichelot. — W tej chwili najważniejsza rzecz jest by wzmocnić dobrą kolację dla twojego przyjaciela Leona.

Leon Boroussier był stałym gościem rodziny Bichelot. Słuchał z świętą cierpliwością wywodów pana domu i pocieszał pania, gdy mąż wychodził, lub też gdy był zajęty swą manią kolekcjonowania sztandarów.

Niektórzy zbierali marki pocztowe, inni pudełka od zapalek, inni jeszcze guziki od uniformów lub lakowe pieczęcie, a pan Bichelot zbierał sztandary.

Kazał sobie sporządzić specjalne postumenty na których ustawiał swe „winięte sztandary“. Były tam barwy wszystkich narodów: naństw ustawione podług alfabetu i stanowiły dumę i rozkosz pana Bichelot. Cała ta kolekcja mieściła się na strychu a p. Bichelot spędzał godziny na przypatrywaniu się tym skarbowi i na polowaniu na mole. To polowanie

zamieniał mu wszelkie sporty i wszelkie ćwiczenia ciała.

Dziś: tej swojej kolekcji p. Bichelot pozyskał sobie szacunek i poważanie swych współczesnych.

Gdy gdziekolwiek na kuli ziemskiej zachodził wypadek, choćby najdrobniejszy wagi politycznej, pan Bichelot natychmiast ozdabiał fasadę swego domu odpowiednim sztandarem.

W ten sposób mieszkańcy małej miejsciny byli ciągle w żywym kontakcie z resztą świata. I to wszystko dzięki panu Bichelot. — Republiki południowo-amerykańskie, w których przy każdej zmianie roku odbywa się po kilka rewolucji, sprawiał panu Bichelot dużo fatwy.

Trzesienia ziemi, wybuchy wulkanów, zawarcie traktatów o porobno-zaczeptych i zaczepno-odpornych, nie mówiąc już o handlowych, wszystko to wpływało na tryb życia i usposobienie p. Bichelot.

A pani Bichelot musiała to wszystko znosić i czyniła to zgrzytając poprostu zębami z pasji. Zbliżanie się święta narodowe go w dniu 14 lipca przyczyniało panu Bichelot dużo emocji.

— Przygotujcieś wieńce i girlandy z jedliny — mówił pan Bichelot do żony w obecności przestraszonego Leona. — Ja sam rozwięszę weneckie latarnie na oknach

i gzymsach a trójkolorowe lampiony dookoła balkonu. Mam też szeze na strychu trochę ogni bengalskich i sprowadzę z Parwza kilka nowych sztandarów.

— Co? — wrzasnęła pani Bichelot — przecież cały dom jest już wypełniony sztandarami! Słuchaj, Fryderyku, jeżeli nie ustanieś w tej manii to zapewniam cię, że uczynię coś okropnego!

Ale p. Bichelot nie słuchał. Patrzył z zachwytem w swój kieliszek, w którym przelewał się i błyszczał płyn koloru barw Guatemali.

Nowe sztandary nadeszły w wileś święta narodowego i zbieracz udał się zaraz do klubu, by się pochwalić swym nowym nabwkiem.

— Moja żona sabotuje mnie poprostu — opowiadał w klubie — nie chciała wiać udziału w dekorowaniu fasady naszego domu. Tem gorzej dla niej. Wobec tego bede musiał zrezygnować z girland. Bo coż może uczynić wobec jej wyrażonej złości? Ale własnymi rekami zawsze wszystkie sztandary! To już moja rzecz!

Pan Bichelot opuścił klub i udał się do domu. Spojrzał przystem na szara fasadę swego domu i pomysł o świeżych i barwnych tkaninach, które ja jutro ozdobia i ożywia.

Potem wszedł w drzwi i poszedł gwiżdżać na pierwsze piętro.

Drzwi sypialni małżeńskiej były otwarte i oczy pana Bichelot spooczył z pewnym niepokojem na pootwieranych szufladach, porozrzucanych cześciach garderoby damskiej i na zwiniętych dywanach.

— Anno! zawołał i wszedł do sypialni.

Tu ujrzał na samym środku stołu, na najwidoczniejszym miejscu obraczkę ślubną swej żony!... — Obok obraczki biała kartka papieru.

— Co... co... — bełkotał p. Bichelot i czytał:

— Mam tego „osy“ — głosiła kartka, pisana własną reka pani Bichelot — wjeżdżam z Leonem i pozostawiam cię, wraz z twymi sztandarami!

P. Bichelot rozplakał się, jak to czyni każdy człowiek, opuszczony przez żonę. Plakał i szlochał aż we drzwiach stanęła służąca i zawiadomiła go, że obiad na stole.

Ale nie iadł obiadu i siedział tak zgarbiony i nieszczęśliwy na krześle, aż nadeszła noc cicha i wona, noc lipcowa, pełna fioletowych cieni i pieszczotliwych powiewów.

Nagle hałas jakiś zwrócił uwagę nieszczęśliwego pana Bichelot.

P. Bichelot wszedł na balkon i ujrzał tłum, który przechadzał się tam i z powrotem pod jego balkonem. Zrozumiał, że ci ludzie dziwnili się, iż fasada domu pozostała naga i niczem nie przystrojona.

Zdaleka poczęły dochodzić dźwięki muzyki, to na placu meri formował się pochód z zapalonemi pochodniami. Pan Bichelot porwał swą pochodnię, zapalił ją i szedł do tłumy zawołał:

— A sztandary?

Sztandary! Te okropne sztandary, które spowodowały ucieczkę żony!

Biedny p. Bichelot spaliłby w tej chwili z największą przyjemnością wszystkie sztandary, byłoby tylko żona powróciła.

Ale do pierwszego głosu przylaczył się inny, które wołały głośno i przeciągle.

— Sztandary, sztandary!

Pan Bichelot nie mógł się oprzeć głosowi ludu. Skoczył więc do dachu, gdzie ustawione były przygotowane na święta narodowe sztandary, pochwycił pierwszy z brzoza i rozwinałszy powiesił na balkonie.

Był to sztandar Hiszpanji, gdzie kilka tygodni temu przyszedł do władzy srogi dyktator i despot Pan Bichelot oniemiał.

(Tłumaczyła Et.)